

Nr. 12. Lwów 24. Września, 1870 R. Rok I.

KARCZMA W LESIE.

OPOWIADANIE.

SPISAŁ

WOŁODY SKIBA.

(Ciąg dalszy.)

Pierwsze co mi się nasunęły nie były drzwi, ale brama. Wszedłem więc w bramę. W bramie znajdowały się drzwi, wziąłem za klamkę, były zamknięte. Poszedłem więc dalej, zobaczyłem schody, udałem się niemi, na pierwszem piętrze znów próbowałem klamek, wszędzie było zamknięto. Dziwiło mnie ogromnie, że się tak ludzie zamykają. Poszedłem na drugie piętro i tam dopiero znalazłem jedne drzwi, które się otworzyły za ruszeniem klamki.

Wszedłem z bijącem sercem i w progu zacząłem mówić:

— Proszę wielmożnych państwa o kawałek chleba i nocleg.

Nie usłyszałem żadnej odpowiedzi, zacząłem się więc rozglądać po pokoju w którym się znajdowałem. Było w nim oprócz drzwi któremi wszedłem, dwoje jeszcze innych. Sprzętów znajdowało się niewiele. Kilka tylko krzeseł jakich jeszcze nigdzie nie widziałem, stolik i jakiś dziwny drąg, który zwrócił uwagę moją, nie mogłem bowiem zrozumieć jego przeznaczenia. Były do niego dorobione ozdobne nóżki, żeby mógł stać, a u góry rozchodziły się w kierunku poziomym cztery ramiona ułożone na krzyż. Przypomniało mi to drogoskaz, jeden z takich jakie często spotykałem w mojej wędrówce, lecz z których nieumiejąc czytać, korzystać nie mogłem, tylko zwykle kierowałem się w stronę tego ramienia, które oddalało od lasu.

Tak samo też zrobiłem tutaj. Poszedłem w kierunku jednego z ramion mniemanego drogoskazu i otworzywszy drugie drzwi, powtórzyłem:

— Proszę wielmożnych państwa o kawałek chleba i nocleg.

Lecz i tu panowało milczenie, zacząłem się więc znowu rozglądać i mimowolnie przypomniała mi się bajka o wielkoludach, wędrującym królewiczu i zaklętej królewnie. Coś mi mówiło, że wszedłem do zaczarowanego pałacu, w którym wszystko znaleść było można oprócz ludzi, ale w którym mimo to bardzo się dobrze wędrującemu królewiczowi powodziło.

Nigdy jeszcze nie widziałem takich sprzętów, jakie tam widziałem. Krzesła były wyścielane taką materją z jakiej u nas w miasteczku ksiądz miał ornat, w którym tylko w Zielone Swiątki nabożeństwo odprawiał. Stoły były z takiego drzewa co się świeciło niby lustro, a lustra większe jak ja. Na ścianie wisiał zegar w oprawie złotej, a ściany całe malowane były tak ładnie jak antypedja u ołtarzy. Można zrozumieć, jakie to wszystko zrobiło na mnie wrażenie.

Przez jedne drzwi jakie się znajdowały w tym salonie, przeszedłem do następnego pokoju, gdzie również wszystko co zobaczyłem było dla mnie nowe i obce. Na jednym stoliku leżały tam porozrzucane pieniądze, skarb o jakim nie miałem wyobrażenia. I ruble i papierki i takie dukaty, jaki jeden raz tylko jako ciekawość u nas w karczmie pokazywali.

Nie myślałem brać tych pieniędzy, chociaż w drodze nauczyłem się najlepiej, jaką to grosz ma wartość.

— Po co mam brać? — mówiłem sobie, przecież to wszystko z całym tym pałacem i tak niedługo będzie moje. Juściż kiedym tu wszedł, i kiedy mnie nic złego nie spotyka, to niezawodnie wkrótce zobaczę zaklętą królewnę. Teraz zaś nie ma co bałamucić, trzeba iść dalej, bo jak matka mówiła, zaczarowany pałac nie jest mały. Trzeba kilka tygodni, żeby obejść wszystkie pokoje.

Otworzyłem więc nowe drzwi i stanąłem w progu zdumiony.

Zaklęta królewna znajdowała się przedemną o kilka kroków. Przy zmierzchu który zapadać zaczynał, blado i niewyraźnie rysowała się jej postać, mogłem jednak poznać łatwo, że była piękniejszą od wszelkiej kobiety jaką kiedykolwiek w życiu widziałem. Strój jej długi, wązki lecz posągowo uroczysty, taki jakiego nigdzie nie widziałem ani na wsi ani w Warszawie, odsłaniający daleko więcej ciała niż go nawet wiejskie dziewczęta przy praniu odsłaniać mają w zwyczaju, dodawał jej w mojem pojęciu nieskończonego uroku.

Patrzyłem jej w oczy, zdawało mi się, że się uśmiecha do mnie, nieruchoma i milcząca.

Niewiele myśląc, jak mój królewicz z bajki, upadłem przed nią na kolana.

— Zaklęta królewno! — zawołałem, wiem że straszliwy czarnoksiężnik trzyma cię w tym zaczarowanym pałacu, lecz nic się nie bój zaklęta królewno, ja cię z rąk jego wyswobodzę.

Byłem pewny, że królewna przemówi do mnie łaskawie i zostawiłem jej czas na to. Tymczasem zamiast odpowiedzi uśmiechniętego bóstwa, które miałem przed oczyma, usłyszałem poza sobą śmiech głośny.

Zerwałem się na równe nogi i zwróciłem się w tę stronę, z której śmiech uszu dochodził, przekonany, że to czarnoksiężnik chce stanąć ze mną do walki.

Spostrzegłem przed sobą po pańsku ubranego mężczyznę i zamiast występować z nim do boju, jak do tego byłem przygotowany, onieśmielony nagle i ociemniały, skłoniłem mu się do kolan.

— Cóż ty tu robisz?—zapytał mnie z łagodnym uśmiechem.

Łagodność ta ośmieliła mnie cokolwiek.

-- Chciałem prosić wielmożnego pana o kawałek chleba i o nocleg — odrzekłem.

— I zdawało ci się żeś wszedł do zaczarowanego pałacu?

— Ha cóż?... zdawało mi się, bom jescze takiego pałacu nigdy nie widział.

— I myślałeś, żeś zobaczył zaklętą królewnę w tym obrazie?...

Rzuciłem okiem na postać, do której klęcząc przemawiałem. Był to w istocie obraz umieszczony na sztalugach, przedstawiający jakąś mitologiczną postać, czego z powodu zmierzchu i zupełnego braku pojęcia o sztuce malarskiej, a nadto mistrzowskiego wykonania, mogącego prawdziwie złudzić oko, nie spostrzegłem.

— Więc to... malowane? — rzekłem niedowierzając jeszcze.

— A malowane... czekaj, przypatrzysz się przy świetle.

Przyjrzałem się obrazowi i ze zdumieniem przekonałem się, że ludzie mogą malować osoby takie jak żywe, a nawet piękniejsze od żywych. Dotychczas znałem tylko obrazy świętych po chłopskich chatach i po kościołach ubogich, żaden z nich jednak nie wydawał się tak pięknym, żaden nie złudził mnie do tego stopnia.

— I to można malować tak prześlicznie?...— mówiłem nie mogąc oczu oderwać od obrazu,— a toż ta pani zupełnie jak żywa i uśmiecha się do mnie i zdaje się zaraz przemówi.

— A przecież wszystko to malowane tym oto pędzlem i temi farbami — rzekł patrząc mi mile w oczy pan, w którego byłem mieszkaniu.

— Och! jakżebym ja chciał tak malować— zawołałem.

Pan u którego byłem popatrzał na mnie pomyślał chwilę i rzekł:

— Poczekaj, może to jakoś będzie... więc chcesz kawałka chleba i noclegu?

— Tak jest, jeżeli łaska wielmożnego pana,— odpowiedziałem.

— A masz pieniądze?...

— Pieniądze?... nie mam grosza przy duszy.

— W tamtym pokoju — rzekł znów pan wskazując pokój z którego wyszedłem, — leży tyle pieniędzy na stole... czemuż sobie nie wziąłeś?

— Nie wiedziałem czy to moje, czy nie.

— Jakto nie wiedziałeś czy twoje?

Z całą szczerotą dziecka odpowiedziałem na to zapytanie com myślał widząc pieniądze.

Słysząc znów o zaczarowanym pałacu czarnoksiężniku i zaklętej królewnie, pan ów uśmiechał się wesoło i łaskawie na mnie spoglądał.

Gdym skończył kazał mi dać jeść i pić, a potem wymyć mnie i przebrać i posłać mi w swym sypialnym pokoju.

Skoro się tylko uczułem na tak miękiej pościeli na jakiej nigdy w życiu nie spałem, zmęczony usnąłem natychmiast.

Nie budzono mnie wcale i nikt o nic więcej się nie pytał.

Nazajutrz dopiero rano gdym się obudził mój gospodarz tylekroć gościnniejszy od Kowala z Wólki zaczął ze mną długą rozmowę.

Kazał mi opowiedzieć co jestem za jeden zkąd się wziąłem w Warszawie, co z sobą myślę, zadawał mi mnóstwo pytań, a na wszystkie wymagał prostej i prawdziwej odpowiedzi.

Ponieważ mi chętnie przyrzekł, że mnie do ojczyma mojego i do lasu nie odeszle, więc mu opowiedziałem wszystko jak było, a widziałem, że tego słuchał z wielkiem zajęciem.

Gdym skończył swoją historję, pan ów zapytał:

— A chciałbyś ty się uczyć?

— Malować? — zapytałem bez namysłu.

— Malować, czytać, pisać, rachować, wszystkiego czego człowiekowi potrzeba.

— Oh! wielmożny panie — odrzekłem na to, toż to całe moje zmartwienie, że jestem w takim wielkiem mieście gdzie sami panowie mieszkają, a ja taki głupi i nic nie umiem, tylko się patrzeć i dziwować.

— No to wyrysujże mi co. Patrzaj robi się tak jak ja.

To mówiąc wziął ołówek i na kawałku papieru kilkoma śmiałemi zarysami w mgnieniu oka narysował głowę chłopaka.

Spojrzałem na nią i zdawało mi się, że się w lusterku przeglądałem.

— Olaboga! to ja! krzyknąłem uszczęśliwiony

— Poznałeś się to nie zły znak... no, a teraz spróbój coś ty.

Nigdy nie miałem ołówka w ręku, pierwszy raz w życiu dowiedziałem się, że z drobnych kresek na pozór bez ładu stawianych może coś powstać podobnego do ludzi, posłuszny jednak woli tego dobrego pana, wziąłem się do roboty i z całą niezgrabnością pierwszej próby, narysowałem coś podobnego do wilka. Podczas tej pracy tak mi się przypomniała oswobodzona wilczyca, że mi się zdawało, że na nią patrzyłem rysując.

Nie byłem kontent w mojego dzieła; pan ów jednak zatarł ręce i zawołał.

— Doskonale chłopcze, wybornie!... masz oko, masz talent!...

Spojrzałem na niego i na siebie, nie rozumiejąc co powiedział. Co do oka nie miałem wątpliwości, miałem nie jedno, ale dwa — tylko talentu upatrywałem na sobie i około siebie. Nie rozumiałem jeszcze tego wyrazu

Od tej chwili pan, do którego zakołatałem przez los do drzwi jego doprowadzony, zajął się mną gorliwie i sposobność do wielkich nauk mi nastręczał.

Chociaż wchodząc do jego mieszkania wziąłem je za pałac zaczarowany, pan ten był tylko miernej zamożności artystą, który wszystko co miał pracy swej i talentowi zawdzięczał. Byłbym mu też pewno ciężarem, gdyby przez stosunki swoje nie znalazł ludzi możnych, którzy chętnie mu dopomagali i na moje wykształcenie łożyli.

Tym sposobem wyszedłem na artystę z powołania. W dwudziestym roku życie nie potrzebowałem już być nikomu ciężarem, praca moja dawała mi chleba podostatkiem. W gazetach zaczęto o mnie pisać że mam talent, że mam świetną przyszłość przed sobą. Wszyscy mi radzili pracę, naukę, studja; byli nawet tacy, co się bać zaczynali o mnie, żeby mnie pierwsze powodzenia nie popsuły, żebym nie wpadł w zarozumiałość i za skończonego się nie uznał.

Były to obawy płonne. Nie jest to moją zasługą, że pracę polubiłem, że do nauki wszelkiej mam zdolności i znajduję w niej przyjemność, a szukania przyjemności nazywać zasługą nie potrafię. Zarozumiałym także być nie mam z czego. Zawodem moim jest sztuka, którą ukochałem — sztuka trudna, w której chociażbym wzniósł się kiedyś tak nawet wysoko jak o tem dzisiaj tylko marzyć mogę, jeszczebym nie mógł powiedzieć że jestem skończonym, bo zawsze mogliby być i byliby z pewnością mistrzowie doskonalsi odemnie.

Nie o tem przecież chciałem mówić, a więc powracam do rzeczy.

Z nabywaną co dzień nauką, ustąpiła naturalnie przesadna wiara w planetę. Wyszedłszy na człowieka, chociaż się urodziłem pod znakiem barana przestałem bardzo prędko myśleć o wilczycy i bać się jej zębów.

Kiedym wspomniał o mojem dziecięctwie i porównywał swoją dawniejszą dolę z obecną, zawsze jedno przychodziło mi na myśl:

— Czy bym ja też wyszedł kiedy na ludzi gdybym był tej wilczycy z żelaz nie wypuścił i gdyby mnie mój ojczym za to z domu nie wypędził?...

Na to pytanie odpowiadałem sobie:

— Ha! może... To tylko pewna, że nigdy bym nie doszedł ani do takiej nauki, ani do tego pojęcia sztuki, zamiłowania jej, które mi teraz tyle i tak szlachetnej sprawia rozkoszy.

Ztąd czułem prawdziwą wdzięczność i dla wilczycy i dla mego ojczyma i postanowiłem wdzięczność tę okazać, kiedyś przynajmniej Marcinowi Wilkowi, kiedy wilczycy wywdzięczyć się nie było podobna.

Jak tylko praca moja zaczęła mi przynosić jakiś dochód, zacząłem ten dochód dzielić na trzy części. Jedną z nich przeznaczyłem na opędzenie moich potrzeb, a przywykłemu do biednego życia od lat dziecięcych łatwo mi się było nią obejść: drugą składałem na podróż do Włoch, dla uzupełnienia mego artystycznego wychowania; trzecią postanowiłem oddać memu ojczymowi i macosze, aby im choć cokolwiek dopomódz w starości.

Powodziło mi się wybornie i dwie moje skarbonki coraz bardziej wypełniały się pieniędzmi.

W dwudziestym drugim roku życia, a zatem we dwanaście lat od czasu opuszczenia domu ojczyma, zdarzyło mi się, żem miał zabawić czas jakiś w zimie, w jednym domu obywatelskim o kilka mil tylko odległym od mojego rodzinnego miasteczka.

Naturalnie nie pominąłem tej sposobności odwiedzenia opiekunów mojej młodości i skorzystałem z pierwszego dnia, którym mogłem rozporządzać, aby się udać do nich.

Dzień był zimny i wietrzny, droga prowadziła prawie przez same lasy — te lasy które niegdyś przebyłem pieszo bez kawałka chleba, bez dostatecznie ciepłej odzieży, mając przed sobą tylko straszną niepewność, a za sobą tylko przerażające drapieżnych zwierząt widziadła. Na każdym kroku jaki odbyć miałem w tej drodze, czekały mnie wspomnienia, które dziecięca wyobraźnia okropnemi głoskami zapisała w mojej pamięci.

Coś mnie ciągnęło do tych wwspomnień do tej strasznej przeszłości, z której tak szczęśliwie wybrnąłem, do tych ludzi, którzy mnie

odepchnęli, a odepchnięciem wyrzucili na drogę, którą tak daleko zaszedłem.

Obywatel u którego bawiłem, odesłał mnie bryczką, dając mi za woźnicę jednego ze swych ludzi Michała, znającego doskonale las, przez który jechać mieliśmy.

Szczęśliwy byłem z tej jego znajomości dróg i drożyn leśnych, nie myślałem bowiem jechać prosto, lecz w tej podróży chciałem sobie przypomnieć wszystkie wrażenia mojej młodej wędrówki, odwzorować w pamięci przygody jakich wówczas doznawałem, uczucia jakie mną miotały, ścigające mnie na każdym kroku obawy i mglisto, niewyraźnie w dali rysujące się nadzieje.

Ubrałem się więc w ciepły kożuch, wsiadłem do bryczki puściłem się w drogę, zatknąwszy za pas parę pistoletów na konieczne żądanie Michała, który mi radził to uczynić na przypadek napaści złych ludzi, o których w wielkich lasach zawsze nie trudno, tymbardziej zaś łatwo było podówczas, bo w okolicy panowała bieda, a w ciężkich czasach zwykle się powiększa liczba amatorów cudzej własności.

Tym chętniej posłuchałem tej rady, że miałem dość znaczną summę — kilkaset rubli, przeznaczoną dla tych, co w młodych latach byli chlebodawcami mojemi.

Podróż ta była mi dziwnie przyjemną. Jeżeli Dante powiada, że nie ma większej boleści jak wspomnienie czasów szczęśliwych w nieszczęściu, ja powiedzieć mogłem i miałem prawo, że nie ma większego szczęścia nad wspomnienie dni cierpień i goryczy, gdy te cierpienia przebolały i szczęście trwalej nam się uśmiechać zaczyna.

Nie wiem co bardziej, czy wspomnienie czy kożuch zagrzewało krew w moich żyłach — dość że mi było ciepło i nie spieszyłem się bynajmniej z przybyciem na miejsce.

Gwarząc z Michałem skręcaliśmy co chwila, pewni że nie zbłądzimy w labiryncie dróżyn leśnych krzyżujących się z sobą co kilka staj; nie tylko bowiem mój woźnica miał dokładnie w pamięci topografję lasu, ale i mnie się zdawało, że poznaję stare dęby, buki, graby i klony, koło których niegdyś przechodziłem.

Nie potrzebuję mówić, że gdy mi się przypominała moja dawniejsza obawa wilczycy, uśmiechnąłem się mimowolnie. Czułem się teraz zupełnie tak pewnym siebie, jak przed dwunastu laty byłem pozbawionym tej pewności i mocno byłem przekonany, że mi się nic złego w tej drodze stać nie może, jak wówczas przebywałem ją najgłębiej przeświadczony, że mnie nic innego prócz strasznej a dawno przepowiedzianej śmierci nie spotka.

Dzień się już miał ku schyłkowi, gdy ukołysany jednostajnym ruchem bryczki, upojony rozkoszą co chwila nasuwających się przyjemnych wspomnień, wpadłem w jakiś stan błogi, z którego sobie nie zdawałem sprawy. Nie chciało mi się zrobić najmniejszego poruszenia, żeby się nie narazić na przykrość wyjścia z tego stanu jakiegoś dziwnego, nieopisanego spokoju.

Zdawało mi się, że Michał kieruje się w złą stronę, a już było czas jechać do karczmy, lecz zamiast mu powiedzieć o tem, nieporuszając się myślałem:

— Ha! zbłądzi to i odszuka drogi.

Po pewnym czasie Michał przechylił się na koźle, głowa jego mignęła się przedemną i nie zobaczyłem go więcej.

— Musiał spaść, — pomyślałem.

I w odrętwieniu w jakiem się znajdowałem zdawało mi się, że kiedy tak się stało, to się inaczej widać stać nie mogło, ani się też odstać nie może.

— Spadł to spadł, — rzekłem do siebie i nie poruszyłem się nawet.

Koń pędził szybko i równo wązką między drzewami drożyną, co mnie jeszcze bardziej utrzymywało w przekonaniu, że do jazdy bryczką woźnica jest zupełnie zbyteczny.

Jechałem tak od kwandransa może, gdy nagle koń zarżał, stanął na miejscu, zaczął nogą kopać ziemię, a uszami strzydz niespokojnie.

Nie obudziło mnie to z odrętwienia w jakiem się znajdowałem. Nie myślałem ani o popędzeniu go, ani o badaniu tego co spowodować mogło oznaki jego niepokoju.

— Rży bo koń, — mówiłem sobie, — strzyże uszami bo mu zziębły, a stanął bo się zmęczył.

Wszystko to było dla mnie bardzo naturalnem i jasnem, a bynajmniej nie wartem, żebym się dla tego poruszał.

Kasztanek po chwilowym spoczynku, puścił się na nowo galopem. Wypadało może go wstrzymać żeby sił na dalszą drogę oszczędził, ja przecież nie uznałem tego za stosowne.

— Widać wypoczął kiedy pędzi,—myślałem.

Po niejakim czasie dało się słyszeć za mną jakoby echo oddalonego wycia wilków.

Zimny dreszcz przeszedł mi po ciele, włosy zaczęły mi stawać na głowie. Czułem. że nagle zaczynam się bać wilków, tak jak się bałem kiedyś przed dwunastu laty.

Odrętwienie w jakim byłem tak długo, zamieniło się nagle w trwogę, w przerażenie.

Obejrzałem się i zdawało mi się, że w oddali za sobą spostrzegłem jakąś czarną plamę, nieznacznie przesuwającą się po śniegu.

Mimowolnie ręką sięgnąłem w zanadrze, gdzie miałem pistolety. Były na swojem miejscu nabite, gotowe do obrony mojego życia, gdyby mu groziło cokolwiek — czy jednak dostateczne do obronienia go w tym razie... Któż mógł mi powiedzieć?...

Kasztanek gnał ciągle ostatnich sił dobywając.

Długo tak pędziliśmy: ja zdając się na instynkt konia, koń ostatniem wysileniem pośpiechu spiesząc tam, gdzie przeczuwał bezpieczne

schronienie; czułem jednak, zdawało mi się może, że bieg kasztanka coraz wolnieje.

Plama czarna posuwająca się za mną, coraz bardziej się zbliżała. Od czasu do czasu oglądałem się za nią i niedługo rozpoznałem, że się składała z pewnej liczby istot szarych pędzących po śniegu.

Nie ulegało już wątpliwości — były to wilki.

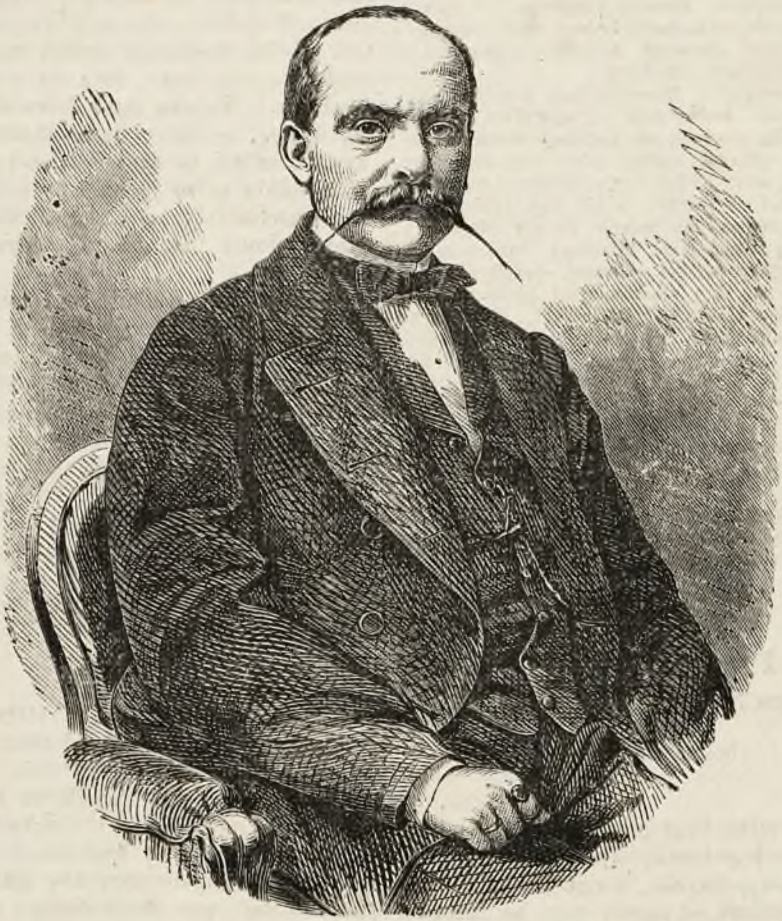
Spojrzałem na kasztanka... dobywał ostatnich sił, ale widać było że słabnie.

Pragnac mu ulżyć wyskoczyłem z bryczki, odprzągłem go w mgnieniu oka, w jednej chwili byłem na jego grzbiecie i gnałem dalej.

Od dziecka nie siedziałem na koniu na oklep, było mi jednak tak wygodnie, jakbym siedział na wygodnym siodle, przysiągłbym nawet że mam siodło pod sobą.

Jakiś przesądny strach mnie poganiał. Przypomniała mi się planeta, wszystkie przeszłe obawy żywcem stanęły przed oczyma i odradzały się w myśli. Napróżno walczyłem z niemi. Czułem, że nie bałbym się tyle niebezpieczeństwa które mnie ścigało, gdybym nie wiedział, że w planecie stały wyraźnie te tak głęboko w mej pamięci wyryte słowa: „...jeśli w dwudziestym drugim roku nie zje go wilczyca....“ Pędząc jak strzała na kasztanku, odejmowałem w myśli rok, w którym się urodziłem, od cyfry wyrażającej rok bieżący. Zdawało mi się żem się mylił, lecz zawsze wypadało mi fatalne 22, a ile razy wymówiłem tę cyfrę, ilekroć pomyślałem o niej, tylekroć mimowolnie oglądałem się na gnające za mną stado wilków i coraz spostrzegałem je bliżej.

(Dok. nast.)



ADAM MIECZYNSKI.

ADAM MIECZYŃSKI.

Adam Mieczyński urodził się 24. grudnia 1828 r. w Ciborach w pow. Pułtuskim. Zaraz po ukończeniu szkół oddał się zawodowi rolniczemu, w tym celu przeszedł kursa w najwyższym u nas zakładzie agronomicznym w Marymoncie i osiadłszy stale w Warszawie wzbogacił literaturę rolniczą bardzo wielu i bardzo cennemi dziełami, które bądź sam pisal, bądź wydawał, bądź znowu jako redaktor rozmaitych pism rozpowszechniał między publicznością.

Z pism rolniczych, które pod jego redakcją wychodziły na szczególniejszą uwagę zasługują: *Przegląd rolniczy* i *Gazeta rolnicza*, ta ostatnia zwłaszcza wychodzi

od lat dziesięciu po dziś dzień i jest bardzo dobrze redagowana, a był czas kiedy ze wszystkich pism polskich w rozmaitych gałęziach *Gazeta rolnicza* najpierwsze trzymała miejsce i była czytaną z równą przyjemnością tak przez ziemian jak i inne warstwy narodu.

Obok pism rolniczych Adam Mieczyński wydaje *Opiekuna domowego*, pismo illustrowane dla klas mniej zamożnych, a przy *Opiekunie* wychodzi jako dodatek *Czytelnia domowa*.

Także przy *Gazecie rolniczej* wydaje Mieczyński wielkiej wagi *Bibljotekę rolniczą*, w której zamieścił prace odnoszące się do wszystkich gałęzi rolnictwa krajowego.

Wydał *Pszczolnictwo polskie*, gdzie zebrał najważniejsze prace w tej gałęzi od najdawniejszych czasów, oraz pomnożył swemi dodatkami, wydał dalej *Rzeczy gospodarskie, Gospodarstwo mleczne, Rolnik początkujący, Dobry pszczolarz, Zasady leśnictwa, Nauka o torfie, O poznawaniu mleczności krów* i wiele innych.

W roku b. wydał obszerny *Kalendarz rolniczy*, a także wydawał kalendarze dla ludu.

Słowem działalność p. Mieczyńskiego jest ogromna, praca niezmordowana zasługująca na najwyższe uznanie i jeżeli w tych kilku słowach nie jesteśmy w stanie krytycznie rozebrać i wykazać zasług jakie dla rolnictwa krajowego położył przez podniesienie literatury rolniczej, to potomność potrafi dokładnie ocenić jego zabiegi pod tym względem i przyzna mu miano twórcy literatury rolniczej. I rzeczywiście, jeżeli mieliśmy bardzo cenne dzieła rolnicze i gospodarskie dawniej, jeżeli obecnie możemy poszczycić się tak znakomitymi pisarzami jak Zygmunt Gawarecki, Albin Kohn, Snarski, Dolinowski itd., to nikt nie zaprzeczy, że wśród tego działalności tylko p. Mieczyńskiego, jego energji i pracowitości zawdzięczamy, że nie są to tylko luźne talenta, ale że obok nich ugrupowało się koło pisarzy i że literatura rolnicza zapełniła wszelkie szczerby. Jeżeli zważymy, że kraj nasz przedewszystkiem rolniczy i że mu najpilniej do jego dobrobytu potrzebną była literatura rolnicza, to uznać będziemy musieli wielką, nieocenioną zasługę p. Mieczyńskiego.

Obok tych prac zanotować tu winniśmy, że był on profesorem gospodarstwa wiejskiego w Marymoncie.

KARTKI Z PAMIĘTNIKA

Z CZASOW OSTATNIEGO POWSTANIA.

(Dokończenie.)

Okropnie ciężką była rejterada. Od dwudziestu czterech godzin byliśmy na nogach, bez snu, bez wypoczynku, bez jadła. Padaliśmy ze znużenia, a jednak iść musieliśmy, bo Moskale byli za nami. Wówczas zrozumiałem całą doniosłość przysłowia „wiele ten może co musi,“ my już byliśmy tak bezsilni, że ruszać się zdawało się nie mogliśmy, w czasie bitwy padaliśmy na ziemię ze znużenia, a jednak od Miechowa do granicy, czy właściwie do miejsca gdzie znaleźliśmy nocleg uszliśmy 7 do 8 mil i do godziny 12 w nocy szliśmy bez chwili spoczynku, bez okruszyny chleba lub kropli wody. Szliśmy bośmy musieli. Poprzedzający nas kosynierzy wyjadali wszystko do szczętu, nigdzie nawet surowej kartofli nie widziałem, nie było nic. Wszystko co miałem, a miałem z 10 rubli, dawałem za kęs chleba, groziłem potem rewolwerem, ale ani prośba ani groźba nic nie pomagały bo nic jeść nie było.

Okropna ta dla nas podróż była skierowaną do Krakowa. Część podobno udała się w Sandomierskie, główne tłumy szły do Krakowa, kto prowadził, nie wiem, gdyż nie byłem w możności należenia do pierwszych szeregów.

Przeszliśmy granicę austrjacką i zachodziliśmy do kilku wsi. Ci co byli na przodzie pozostawali, dla nas nie było już miejsca, prowadzono nas dalej, aż przyszła w jednej wsi i na nas kolej, ale tam znowu chłopi nas nie przyjęli i odpędzili miotając obelgi. Za to w następnej wsi trafiliśmy na wesele i przyjęto nas serdecznie. Wszakże godownicy wszystko już byli zjedli i tylko mogliśmy dostać wody i śledzi. Zacząłem gryść śledź, lecz się nasyciłem jednym kęskiem. Niejaka pani Zawadzka zaprosiła nas na nocleg — chłopi tameczni formalnie nas rozrywali, otóż i ta pani Zawadzka nabrała nas aż 7, a miała tylko jedną izbę pełną błota, po której przechadzały się cielęta, świnie i gęsi. Nasłano słomy na ziemi i wraz spaliśmy jak zabici.

Nazajutrz obudził nas ekonom, który przyniósł na śniadanie wódki i chleba. Poczem zaprosił do dworu, a tam zastaliśmy resztki zapust, był to bowiem dzień popielcowy. Z jakąż rozkoszą zabraliśmy się do kiełbas wybornie na słoninie smażonych z kwaszoną kapustą!

Zacny ten obywatel, którego nazwiska nie wiem, nakarmiwszy nas odesłał na podwodach do Krakowa, pakując po 8 na wóz. Tak przybyłem do Krakowa i zajechałem do tego samego hotelu gdziem był stanął po przyjeździe po raz pierwszy do Krakowa i zakwaterowałem u poczciwych kolegów, a jak się położyłem do łóżka, to cztery dni nie wstawałem, bo nogi nie chciały mi służyć.

Gdy się zwlekłem z łóżka i wyjrzałem na miasto ujrzałem widok odmienny niż zostawiłem. Kraków wyglądał niby obóz. Przeszło tysiąc nas przybyło z pod Miechowa i wszyscy włóczyliśmy się po ulicach w burkach powstańczych, ale też i akademicy krakowscy, którzy byli się schowali w mysie nory aby ich do powstania nie poturbowali, powyłazili teraz i tak samo poprzebierani niby wracający z obozu ruszali się po mieście. Że zaś po bitwie miechowskiej Moskale Miechów spalili, znaczna część ludności przybyła do Krakowa, zresztą napływ ochotnika, Górali, Sanoczanie i rozmaitego ludu była masa. Ulice Krakowa były przepełnione.

Krakowianie przyjmowali nas serdecznie, czy gdzie zaszedłem co zjeść, czy co kupić, nigdzie nie chciano brać lub formalnie nie brano zapłaty, tak przypominam sobie kawiarnię *Wieczorka*, innych miejsc nie pamiętam.

Ale mniejsza o to, dosyć że w Krakowie panował duch najlepszy i zaraz poczęto myśleć o nowym wymarszu.

Tak było u dołu pomiędzy ludem. Nieszczęście chciało, że w tym czasie po nie udaniu się wyprawy kujawskiej przybył do Krakowa Mierosławski i tam rozpoczął organizację oddziału. Nie moją rzeczą jest wdawać się w krytykę, coby Mierosławski był zrobił, gdyby mu rząd narodowy był pomagał, lub przynajmniej nie stawiał nieprzezwyciężonych przeszkód, to tylko zdaje się mnie nie sumiennem i nikczemnem ze strony rządu narodowego, owego rządu półgłówków i intrygantów, że kiedy nie chciał aby Mierosławski Polskę zbawiał, nie postarał się o kogoś innego, coby go mógł zastąpić i dopiąć tego samego celu, ale urządził komedję znaną pod nazwą *kontrdyktatury Langiewicza*.

Komedja skończyła się tragicznie bardzo, bo któż w tak krytycznej chwili powierza dyktaturę powstającego narodu jakiemuś podoficerowi pruskiemu, bezczelnemu tchurzowi! który uciekł z bitwy wtedy, kiedy jego oddział odniósł najświetniejsze zwycięztwo. Czemu już lepiej nie zrobiono dyktatorem Rechebruna, ten przynajmniej był odważny jak tygrys.......

KOWAL.

Dyszą miechy, — a pod młotem
Z pod żelaza lecą skry.
Skroń kowala szkli się potem,
A u powiek świecą łzy.

Na kominie żar się puszy,
W całej kuźni huk i gwar.
Lecz w kowala tęsknej duszy,
Jeszcze większy szum — i żar.

W domu chore dziatki, żona...
W pierś się wbija bólów grot.
„Hej do pracy!... a nuż skona...“
I w dłoń silniej chwycił młot.

Pobiegł myślą do swej żony,
Dziatwie z serca uścisk dał.
I wciąż młotem kuł... szalony,
Jakby biedę zabić chciał.

„O! jak srogo Panie! Panie!
Tyś mię w chwili dotknął złej!
Choć nad dziatwą zmiłowanie,
Choć nad żoną litość miej.“

Próżna modła... łzą zaciekła
Nieszczęsnemu cała twarz.
„Gdy im zsyłasz męki piekła,
Mię, o Panie za nich karz!

Mię, na bólów powal łoże!
Mię, niech ręka dotknie Twa!
Mię... — o przebacz wielki Boże!
— A któż dziatwie chleba da?“

Chciał rozegnać troski chmurę,
I do pracy jął się w lot.
— Lecz nim ramię podniósł w górę
Z martwej ręki padł mu młot!

Wł. Bełza.

WIADOMOSCI HYGJENICZNO-LEKARSKIE.

(Ciąg dalszy).

Jedna osoba staje w głowach bierze lewą rękę chorego i podkłada ją pod czoło obumarłego, przyczem trzymają w okolicy łokcia i napięstki. Druga osoba pośrodku stojąca, chwyta pozornie zmarłego za prawe ramie i prawy bok, trzecia zaś znajdująca się w nogach przytrzymuje lewą nogę zamarłego.

Następnie ciało chorego zwolna obraca się ku lewej stronie tak iżby obumarły leżał na lewym boku. Przechyliwszy go nieco do pozycji na wznak ostrożnie, lecz szybko zwraca się chorego na brzuch do pozycji w której się poprzednio znajdował. Takich kołysań robi się 15 na minutę.

Za każdym razem gdy brzuch i piersi obumarłego zwrócone są ku ziemi, naciska się dłonią plecy chorego między łopatkami z dwóch stron stawu pacierzowego (kręgosłupa.) Naciskania zaprzestajemy w chwili gdy chorego przewracamy na bok.

Opisany sposób sztucznego oddychania nazywa się *metodą Marshall-Hall'a.*

Jeżeli osoba zamarła przy takiem postępowaniu w parę minut nie zacznie oddychać wtedy robimy sztuczne oddychanie za pomocą drugiego sposobu.

Ciało chorego układa się na równem miejscu, jeżeli można na sieniku. Pod głowę, ramiona i plecy wsuwa się twarda poduszka.

Jedna osoba wyciąga z ust język chorego i przytrzymuje go palcami przez chustkę od nosa, aby się nie wyśliznął. Tak wyciągnięty język przyciska się do brody obumarłego. Druga osoba właściwie podająca pomoc staje w głowach pozornie zmarłego i chwyta jego ręce w okolicy łokci, nieco wyżej stawu łokciowego. Następnie prostuje ręce w stawie łokciowym i ostrożnie lecz szybko unosi je ku górze tak, aby leżały z dwóch stron głowy obumarłego. W tej pozycji ręce wyciągają się przez dwie sekundy. Za pomocą takiego ruchu rozszerzamy klatkę piersiową i naśladujemy wdychanie. Po chwili ręce obumarłego spuszczają się ku dołowi i doprowadzają do pozycji jaką pierwotnie zajmowały, przyczem ręce te przez dwie sekundy przyciskają się do bocznych ścian klatki piersiowej.

Tym sposobem zwężamy klatkę piersiową naśladując wydychanie. Takich poruszeń rąk na przemian ku górze i ku dołowi trzeba zrobić przynajmniej z 15cie na minutę.

Jest to sztuczne oddychanie za pomocą *metody Sylrester'a.*

Opisane dopiero co sztuczne oddychanie trzeba regularnie i wytrwale robić dopóki nie

dostrzeżemy wyraźnych ruchów oddechowych. Wytrwałość w takich razach jest niezbędną i nikt niech nie przypuszcza, że trud jego będzie bezowocny. *Niekiedy przez kilka godzin trzeba robić opisane powyżej poruszenia zanim osoba pozornie zmarła zacznie oddychać.* O tem niech każdy dobrze pamięta.

Podczas sztucznego oddychania, zwłaszcza jeżeli oddech nie prędko się pojawia, ciało chorego można rozcierać ale w taki sposób, aby rozcieranie nie przeszkadzało wykonywanym ruchom.

Skoro osoba zamarła zacznie regularnie i wyraźnie oddychać, wtedy układa się ją wygodnie w łóżku i przystępuje do ogrzania ciała i ożywienia cyrkulacji krwi (krwi krążenia.)

W tym celu rozciera się ciało, ręce nogi i piersi, ciepłemi płatami flanelowemi. Przy rozcieraniu ciała za pomocą szczotek leczyć należy, aby nie zdzierać, że tak powiem skóry z chorego, takie obtarcia skóry są bardzo bolesne i nie prędko się goją. Prócz rozcierań ciała należy ogrzewać osobę przychodzącą do życia w inny jeszcze sposób. Chorego pokrywa się wygrzaną pierzyną, na dołek żołądkowy (podsercowy), kładną się gorące okłady (chustki zmaczane w gorącej wodzie), które często odmieniać należy, a pod pachy, między uda i nogi wkładają się flaszki z gorącą wodą lub cegły rozgrzane, przyczem pamiętać trzeba, aby chorego nie poparzyć. (D. n.)

WIADOMOŚCI W GOSPODARSTWIE POZYTECZNE.

Konserwowanie ogórków.

Pamiętając o tem że w gospodarstwie najdrobniejszym szczegółem nie powinniśmy lekceważyć, podaję dla naszych gospodyń doświadczony, a na Litwie używany sposób konserwowania ogórków, którego przepis w tej porze sądzę, że będzie na dobie. Mające się solić ogórki, układają się zwykłym sposobem w beczce dębowej, najlepiej nowej, obficie przekładając warstwami liścia wiśniowego i nieco kopru do pełności beczki. Następnie bierze się taką ilość wody, jaka jest w stanie wypełnić beczkę nałożoną ogórkami, wsypuje się w nią, w stosunku na jedno wiadro jedną stołową łyżkę saletry, funt kuchennej soli, lub i więcej, stosownie do tego w jakim stopniu chcemy otrzymać słoność ogórków i nareszcie parę garści liści czarnych porzeczek. Tak zaprawioną wodę gotować aż do zakipienia a nie zdejmując z ognia czerpać i zalewać nią ogórki. Skoro się wypełni beczka, przykryć ją i pozostawić w spokojności. Następnego dnia zlewa się całą ilość wody, jaka się da wysączyć z ogórków, gotuje się ją, lecz już bez żadnych dodatków i znowu się wlewa do beczki. Taż sama czynność powtarza się trzeciego dnia, po dopełnieniu czego, beczka się zabija.

Nadmieniam tutaj, że po zalaniu ogórków wrzącą wodą po raz pierwszy, takowe pożółkną i pomarszczą się, lecz po zalaniu powtórnie, już nabiorą naturalnego koloru i świeżości.

Szczelnie zabitą beczkę od czasu do czasu należy przewracać, tym celem aby wierzchnia warstwa niebyła pozbawiona wilgoci, w skutek czego część ogórków mogłaby przez długi przeciąg czasu uledz zepsuciu.

Takim sposobem zakonserwowane ogórki, dobrze przechowują się przez czas długi i nadto posiadają doskonały smak. *J. G.*

Przezimowanie kuropatw.

Pewien obywatel w okolicy Nisy, posiadający znaczne stada kuropatw na swem polu, nie każe ich strzelać, lecz chwytać w sidła, które zastawia w jesieni na szlagach rzepiowych i w ogrodach warzywnych, kapuśnikach i t. p. Schwytane kuropatwy zamyka w kurnikach na kształt drobiu. W czasie zimy karmi je tam odchodami od zboża, jak i świeżemi liściami rzepiowemi, dodając od czasu do czasu ususzonego w czasie lata nasienia lebiody. Ztąd wynika ta korzyść, że nietylko się ma kuropatwy w ciągu całej zimy na własny stół, ale też zbiera się ładny grosz z ich sprzedaży, biorąc za parę po 4 złp., podczas gdy w sierpniu i we wrześniu połowę tylko tej ceny osięgnąć można. Po rzeczonej cenie sprzedał ów obywatel zeszłej zimy przeszło 100 par, co stanowi wcale niezły dochód poboczny.

SPRAWY WYDAWNICTWA.

Otrzymujemy dużo reklamacji o dalsze tomiki Bibljoteki Mrówki, tymczasem po 25 tomiku nic nie wyszło. Główną przyczyną tej zwłoki jest to, że zabrakło papieru, tego na którym drukujemy, nietylko na składzie we Lwowie, ale że go nie ma również i w fabryce. Wszakże zaradziliśmy już temu i wkrótce wyjdzie z druku tomik 26 zawierający dwa poemata Juljusza Słowackiego: *W Szwajcarji* i *Ojciec zadżumionych.* Odtąd znowu Bibljoteka będzie wychodzić w nieprzerwanym ciągu, jednakże nie tak szybko jak dawniej, gdyż zobojętniałość publiczności dla literatury nie dozwala nam nadal z równą energją prowadzić wydawnictwa. Prenumeratorowie przecież na tem nic nie tracą, gdyż Bibljoteka nie jest wydawnictwem perjodycznem i wychodzenie jej nie stosuje się do czasu, tylko każda serja zawiera równą ilość arkuszy druku.

Jesteśmy jednak zmuszeni zawiesić wydawnictwo *Towaszysza.* Rozpoczęliśmy to dodatkowo do Bibljoteki wydawnictwo gdy w miesiącach styczniu i lutym liczba prenumeratorów Bibljoteki wzrosła do tysiąca a nawet przeszła tysiąc, lecz się ta liczba nie utrzymała i zmniejszając się ciągle doszła już tylko do 300. Ponosimy więc chwilowo znaczne straty i to nas zmusza do oszczędności, w skutek czego prawdopodobnie z następnym numerem wydawnictwo *Towarzysza* zostanie zawieszone do lepszych czasów.

Wydawca i odp. redaktor: August L. Skerl. Z drukarni K. Gromana i sp. pod zarządem A. Skerla.